

Juliusz Kulesza „Julek”: Tak ginęła moja drużyna...

Najważniejszy dzień Powstania? Hm..., trudna decyzja, który wybrać. Chyba 24 sierpnia. Tak, to dla mnie była kulminacja Powstania. Broniliśmy wówczas bloku mieszkalnego na Rybakach 35. Był to dzień najintensywniejszej walki, pełen smutku i tragizmu, bo właśnie wtedy przestała praktycznie istnieć moja drużyna.

24 sierpnia rano był względny spokój. Dopiero około południa piechota niemiecka rozpoczęła swoje pierwsze natarcie. Naprzeciwko naszego budynku były działki warzywne. Tam Niemcy mieli pozycje wyjściowe.

Moja drużyna liczyła 12 czy 13 osób. Stacjonowaliśmy w lewej części budynku, w tej, której jest dzisiaj „Szkatuła”. Prawą część budynku trzymała tzw. kompania wolska ze zgrupowania „Leśnik”. Dowodził nami, naszą drużyną jak i całą obroną budynku na Rybakach, Roman Marchel — „Rom”, samorodny talent dowódczy, a poza tym wieloletni przed- i powojenny pracownik PWPW.

Niemcy atakowali falami. Wyglądało to tak: oni nacierali, myśmy ich odpierali, potem z powrotem kryli się w bujnie rozrośniętych pomidorach i kartoflach. Po jakimś czasie znów podnosili się i próbowali nas atakować.

Główny ciężar natarcia niemieckiego skupił się na naszym odcinku, ponieważ parkan, który okala po dziś dzień Wytwórnię i budynek na Rybakach, właśnie w okolicy klatki schodowej (tej, z której wchodzi się dziś do „Szkatuły”), był najbardziej zniszczony i jednocześnie był najbliżej budynku. Nasze stanowiska ogniowe znajdowały się w suterenie (dzisiejszej „Szkatulce”). Stąd strzelaliśmy, parokrotnie odpierając natarcia Niemców. Bardzo pomagał nam ogień oskrzydlający z prawej części budynku od ludzi „Leśnika”. Walka była niezwykle zacięta. Był taki moment, że Niemcy już wyłamali drzwi klatki schodowej. Wtedy Roman Marchel pociągnął serią szmajsera po dwóch Niemcach. Jeden od razu zginął, drugi został ranny i uciekał z wrzaskiem.

Wszystkie próby natarcia do godziny 16. zostały odparte. W ciągu tych czterech godzin Niemcy ponieśli duże starty. Na naszym przedpolu leżało wielu zabitych. Byliśmy, jak na ówczesne warunki, dobrze uzbrojeni. Mieliśmy dwa peemy. Marchel — jak wspomniałem — miał szmajsera, a mój przyjaciel Leszek Grodecki „Lis”, jedyny, który jeszcze żyje z mojej drużyny, błyskawicę. Ogarnęła nas euforia. Zabiliśmy tylu Niemców, a sami mieliśmy wówczas tylko jednego rannego — Leszka „Billa” Bilińskiego. Po tak ciężkich walkach!

I właśnie około 16. podjechało samobieżne działo szturmowe. Ustawiło się elegancko i... — to jest deprymujące uczucie, kiedy lufa okręca się i zatrzymuje tak, że człowiek widzi naprzeciwko siebie okrągły czarny otworek.

Gdy uderzył pierwszy pocisk, nie było mnie przy oknie na stanowisku ogniowym. Byłem w korytarzu piwnicznym. Trochę wcześniej, gdy po ostatnim natarciu nastąpiła chwila spokoju, wyskoczyłem przed klatkę schodową i zabrałem karabin jednemu z zabitych przez Marchla Niemców. Przyniosłem go swojemu dowódcy. Ktoś z kolegów krzyknął „hurra”, bo każda zdobyta broń była na wagę złota. Pełen młodzieńczego entuzjazmu chciałem się jeszcze bardziej wykazać. Pomyślałem, że z walającego się na korytarzu żelastwa zrobię coś w rodzaju bosaka, wyjdę z budynku, podczołgam się trochę na najbliższe przedpole i kilku zabitym Niemcom ściągnę karabiny.

Gdy na klatce schodowej siłowałem się z tym żelastwem, usłyszałem ogromny wybuch. Zaraz po tym zobaczyłem coś, co mnie poraziło: w korytarzyku piwnicznym

Roman Marchel jedną rękę oparł o ścianę, a drugą trzymał się pod hełmem za twarz.

Widzę, że jest ranny. Dla mnie był niczym grecki heros, któremu nic się nie mogło stać. I oto on — taki bezradny, ranny. Byłem wstrząśnięty. Chwyciłem go za łokieć, chciałem odprowadzić do szpitala, do gmachu PWPW. Ale odepchnął mnie i powiedział: „Ja sam dojdę, ratujcie Bacika”.

„Bacik” to Kazimierz Bereziecki z naszej drużyny. Zostawiłem więc „Roma”. Wszedłem do pomieszczenia, w które uderzył pocisk. Widzę jak dwaj koledzy, Boguś Kaufman „Bogiel” i Leszek Grodecki wyciągają „Bacika” z wody — wcześniej pękły rury wodociągowe i broniąc się w tej suterenie brodziliśmy w wodzie po kolana. Więc chwyciłem go jako trzeci. „Bacik” jednak był najwyższy z nas — tęgą, masywny chłopak. Brakowało nam sił i niestety upuściliśmy „Bacika” do wody. Koło serca powiększała mu się wielka czerwona plama, a uda miał posiekane drobniejszymi odłamkami.

Na szczęście pojawiła się sanitariuszka z noszami. Załadowaliśmy go na te nosze i przenieśliśmy do doktora Petrynowskiej do PWPW. Bacik dostał prosto w serce i już nie żył. Nasze wyrzuty sumienia, że być może go utopiliśmy były bezzasadne.

W tym czasie działo szturmowe strzelając po oknach właściwie zlikwidowało całą naszą drużynę. Ciężko ranny został „Mączka” — Leonard Wieczyński, „Bajgieł” — Władysław Witeński i „Pchełka” — Tadeusz Sztora. Jeśli wliczymy w to wcześniejsze straty oraz rannego dowódcę, to można powiedzieć, że drużyna przestała istnieć.

Nasze niedobitki ściągnięto z Rybaków i wieczór oraz noc spędziliśmy na kwaterze razem z rannymi kolegami już na terenie Wytwórni. Staraliśmy się zasnąć, byliśmy przygnębieni, załamani...

Relacji Juliusza Kuleszy wysłuchał i zanotował Krzysztof Rak

[„ŻW” nr 28 (592) 2 sierpnia 2004 roku]